

Neopurytanie w obronie planety [FELIETON]

Już widać idee, które w normalnym życiu są ciągle rozproszone i zmieszane, a które wzbierają w rewolucyjną falę, której celem jest całkowita odmiana społeczeństw Zachodu – przekonuje Dariusz Gawin w felietonie napisanym specjalnie dla Teologii Politycznej.

Każdy kto ogląda w telewizji sceny z pożarów w Australii rozumie, że globalne ocieplenie jest faktem. W Warszawie dzieci narzekają, że jeszcze ani razu tej zimy nie spadł śnieg. Mój syn, który ma dziewięć lat, nie pamięta białego Bożego Narodzenia (zdarzyło się wprawdzie za jego życia, ale był za mały, żeby je zapamiętać). Dyskusja o tym, czy to ocieplenie jest antropogeniczne, czyli zostało wywołane przez człowieka czy też ma bliżej jeszcze nie rozpoznane przyczyny naturalne, wydaje się wtórna wobec siły nagich faktów. Będzie to mieć konsekwencje dla każdej sfery życia – dla kultury, ekonomii oraz polityki. Bo obrazy płonącego buszu rodzą lęk, a lęk musi przerodzić się w żądanie zmian. I wszystko odbędzie się tak, jak zawsze w historii – w tej wielkiej fali lęku, słusznego gniewu i dobrej woli będzie też wiele ideologicznej przesady oraz ludzi, którzy idee zamieniają w ideologie, a wątpliwości i wahania w surowe doktryny kreślone grubą linią.

Przedsmak tego już mamy w licznych wezwaniach do gwałtownego ograniczenia konsumpcji. Czasem jest to mniej poważne, jak wtedy gdy jakaś celebrytka wzywa do przelewania na konta fundacji ratujących Australię równowartości sumy jaką wyda się na nagłych,

*Obrazy płonącego buszu rodzą
lęk, a lęk musi przerodzić się
w żądanie zmian*

kompulsywnych
zakupach
(jakkolwiek by to
idiotycznie brzmiało,
fakt prawdziwy –
ledwo kilka dni temu
nasza rodzima

gwiazdka mediów społecznościowych pobiegła do sklepu i wydała sześćset złotych na kosmetyki, a następnie wpłaciła na rzecz Australii sto pięćdziesiąt euro). Ale są też pomysły bardziej serio – kilka osób publicznie deklarowało (chciałoby się napisać – ślubowało), że nie kupi w 2020 roku ani jednego nowego ubrania, po to aby ograniczyć konsumpcję. Innym przykładem jest przybierająca na sile akcja propagująca świadomą rezygnację z latania samolotami. Rzeczą zaczęła się w Szwecji, gdzie radykalni obrońcy planety ukuli termin „flygskam”, czyli „wstyd z powodu latania samolotem”. Chodzi o „śląd węglowy”, czyli o to, że lecący na dalekich trasach samolot pasażerski produkuje bardzo dużo dwutlenku węgla, głównej przyczyny ocieplenia. Sprawa zyskała rozgłos, gdy Greta Thunberg wybrała podróż na sesję ONZ jachtem, a nie rejsowym samolotem.

Kilka dni temu w „Guardianie” ukazał się reportaż autorstwa dziennikarza, który zdecydował się na nietypową, trzytygodniową podróż z Niemiec do Kanady: najpierw zwykłym frachtowcem przez ocean (większość statków tego rodzaju ma pojedyncze kabiny dla komercyjnych pasażerów), a potem już w Kanadzie pociągami (jego punktem docelowym był Vancouver). Autor był dumny, że w ten sposób mógł przenieść swoją walkę z globalnym ociepleniem na wyższy poziom – w Mediolanie, gdzie mieszka, jeździ rowerem do pracy, stara

się ograniczyć marnotrawstwo żywności (hasło „zero waste” nie pada, ale można się domyślić, że chodzi właśnie o nie), do minimum ogranicza zakupy nowych ubrań.

Celem wzrostu gospodarczego jest ciągły wzrost poziomu życia, czyli poziomu konsumpcji. Innymi słowy, szczęście leży w obietnicy demokratyzacji hedonizmu

Podróż przez Atlantyk zajęła w małej, ale wygodnej kajucie dwa tygodnie. Wraz z nim na ten rodzaj redukcji własnego „śladu węglowego” zdecydowało się

jeszcze dwóch pasażerów, Niemiec i Holender. Czas spędzali na grach towarzyskich, rozmowach i kontemplacji morskich widoków – w kabinach nie było telewizorów, a smartphony nie są raczej zbyt przydatne na środku oceanu. Było to tak wciągające, że nawet nie zauważali monotonii serwowanych posiłków. Życie bez pozornych przyjemności dostarczało prawdziwego luksusu – zanurzenia się w niespiesznym rytmie dnia i smakowania całkowitej odmiany życia. W Halifax autor przesiadł się do pociągu, w którym spędził następnych kilka dni oglądając wspaniałe pejzaże kanadyjskiej dzikiej przyrody, zanim dotarł w końcu do Vancouver. Tam mógł dokonać, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, podsumowania tej wielkiej przygody: gdyby zdecydował się na lot z Frankfurtu do Vancouver jego indywidualna emisja dwutlenku węgla wyniosłaby 1,3 tony. Tymczasem podróż statkiem i pociągiem dała w sumie wynik 209,5 kilograma CO₂.

Morał z tej historii nie polega na tym, że czeka nas w ekspresowym tempie powrót epoki transatlantyków. Większość ludzi wciąż woli dostać się z Europy do Vancouver szybciej niż w trzy tygodnie. A jednak w tym reportażu, jak w soczewce widać idee, które w normalnym życiu są ciągle rozproszone i zmieszane, a które wzbierają w rewolucyjną falę, której celem jest całkowita odmiana społeczeństw Zachodu.

Współczesny nowoczesny świat wspiera się na fundamencie wolnego rynku, którego nie ma bez masowej konsumpcji. „Wzrost” gospodarczy ciągle „wzrasta” – zbyt przyzwyczailiśmy się do tego faktu, żeby dostrzec jego niesamowitość i stawiać pytania o cel tego wiecznego ruchu, bo trąciłoby to metafizyką. Na co dzień wystarczy nam prostsza odpowiedź – celem wzrostu gospodarczego jest ciągły wzrost poziomu życia, czyli poziomu konsumpcji. Innymi słowy, szczęście leży w obietnicy demokratyzacji hedonizmu. Przyjemności wczoraj zarezerwowane dla nielicznych muszą jutro być dostępne dla wszystkich.

*Czyż u wielu żarliwych
wielbicieli Greta Thunberg nie
widać wiary w konieczność
surowego oczyszczenia
zepsutego społeczeństwa?*

Ktoś, kto liczy
skrupulatnie – w
poczuciu osobistej
odpowiedzialności
za planetę – ile te
przyjemności
produkuja
dwutlenku węgla,

wywraca cały system do góry nogami. Widzę w tym zapowiedź nowego człowieka, który już nie jest hedonistą, lecz kimś, kto odmawia sobie przyjemności i wygod, ponieważ znajduje upodobanie w samokontroli

oraz introspekcji; człowieka, który rozpasaniu przeciwstawia surowe, moralne obyczaje, który zamiast beztroski głosi konieczność stałej koncentracji i skupienia na najważniejszym celu, jakim jest walka o ocalenie świata. Jednym słowem, człowieka, który przypomina dawnych Purytanów.

Oczywiście, nie ma już dziś mowy o wierze w Boga, ale czyż u wielu żarliwych wielbicieli Greta Thunberg nie widać wiary w konieczność surowego oczyszczenia zepsutego społeczeństwa? Czy nie widać poczucia moralnej wyższości płynącego z wiary w ekologiczną predestynację? Czy – oczywiście u niektórych – nie widać skłonności do nadmiernego zacietrzewienia, zrodzonego z wiary w zbliżający się Dzień Sądu? Każdy, kto zajrzy do książek o historii Anglii i Ameryki w XVII wieku, przekona się że w tych poglądach zawarty jest wielki potencjał polityczny. Naturalnie, gdybym powiedział, że czeka nas nowa cromwellowska rewolucja, grubo bym przesadził (w końcu nikt dzisiaj nie będzie dekapitował króla). Ale że czeka nas *jakaś* rewolucja, to pewne.

Dariusz Gawin

Przeczytaj inne felietony Dariusza Gawina



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



